Rok VII. We Lwowie dnia 5. października 1899. Nr. 40.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata: roczna 6 zł. 60 ct.
półroczna 3 " — "
kwartalna 1 " 60 "
Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIECONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEM. POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Expedycya: Probostwo N. P. M. Śnieżnej, ul. Śnieżna 2.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Co sądzić o mordzie w Polnej?

Zbrodnia w Polnej zwróciła ponownie uwagę ogólną na kwestyę mordów rytualnych żydowskich, a lekarska ekspertyza, wywody prokuratora i wyrok sądu przysięgłych rzucają na kwestyę tę jaśniejsze niż dotąd światło. Oddawna już, bo od początków Chrystyanizmu niemal istniało mniemanie, że żydzi używają krwi chrześcijańskiej do celów rytualnych czy zabobonnych. Wiele mniej lub więcej stwierdzonych faktów morderstwa rzekomo w tym celu popełnionego na chrześcijańskich dzieciach i młodzieńcach zapisały kroniki a niektóre z ofiar, jak świętych chłopaczków Simona w Trydencie i Andrzeja w Rienn w Tyrolu podniósł Kościół na ołtarze i czci jako męczenników. W nowszych czasach pogłoski o faktach podobnych rozchodzą się nieustannie. Słyszymy co chwila o zniknięciu jakiegoś dziecka w dziwny sposób lub o znalezieniu zwłok wśród okoliczności, pozwalających przypuszczać rytualne morderstwo. Zazwyczaj żydzi starają się usilnie o przygłuszenie spraw podobnych, niektóre z nich jednak stały się bardzo głośne. Wspomnijmy tylko słynny proces w Tisza-Eslar, w którym mimo niesłychanej korrupcyi i agitacyi prasowej opinia publiczna wydała wyrok zupełnie odmienny, niż sędziowska ława. Wspomnijmy sprawę Ritterów, oskarżonych również o morderstwo chrześcijańskiej służącej, przedtem już pogwałconej przez ich syna. Trzy razy sąd przysięgłych ich potępił, trzy razy unieważniono wyrok w Wiedniu aż wreszcie przekonanych o zbrodni i skazanych na śmierć wypuszczono na wolność za wyrokiem wiedeńskiego sądu administracyjnego ku największemu osłupieniu całego chrześcijańskiego świata i równie wielkiej radości żydów. Wspomnijmy wreszcie o znanym procesie w Xanten i o fakcie skazania żydów w Niemczech za rany zadane w celach rytualnych.

Fakt zaszły w Polnej był niewątpliwie morderstwem, popełnionem w jakimś tajemniczym, zabobonnym celu. Wykluczone są z pomiędzy motywów zbrodni chęć rabunku lub zemsty, wykluczoną lubieżność. Obdukcya lekarska wykazała zupełny brak śladów pogwałcenia, stwierdziła zaś równocześnie, że z zamordowanej wytoczono wszystką krew, jaka była w ciele. Obwiniony zresztą złożył jak wiadomo po wydaniu wyroku zupełne zeznanie, stwierdził, że morderstwo miało cel rytualny i wskazał na wspólników zbrodni.

Od początku procesu żydzi z całego świata stanęli jak jeden człowiek w niezliczonych organach kierowanej lub subwencyonowanej przez nich prasy w obronie Hilsnera i zrobili z morderstwa w Polnej — drugą sprawę Dreyfusa. Solidarność ich nie szczędziła ani fałszywych zeznań w sądzie, ani intryg, gróźb i korrupcyi, byle nie dopuścić do osądzenia »męczennika«. Obecnie gdy wyrok zapadł, a po wyroku nastąpiło gorzej od niego kompromitujące żydów zeznanie Hilsnera, rabini w Krakowie i we Lwowie wykonują i ogłaszają w pismach szczegółowe i obszerne przysięgi, mające dowieść, że mord rytualny nie jest w żadnej z żydowskich ksiąg religijnych nakazany ani przez żadną z sekt żydowskich wykonywany. Równocześnie zwraca się lwowski rabinat do Namiestnictwa a względnie do ministeryum z żądaniem, aby władze państwowe położyły koniec wszelkiej akcyi, mogącej wzbudzić namiętność i nienawiść przeciw żydom, a więc aby zakazały pism, stowarzyszeń i wszelkich w ogóle objawów antysemickich. Naprawdę pod tym względem trudno chyba władze austryackie oskarżać. Jedna dziesiąta, jedna setna tego co żydowskie pisma bezkarnie piszą o Chrystyanizmie, a żydowscy mowcy gadają — zwrócona przeciw żydom wystarcza, aby dziennik został skonfiskowany a zgromadzenie rozwiązane.

Co o tem sądzić? Czy przysiędze Doktora Jesehiela Caro napisanej poważnie, z akcentem szczerego i religijnego przekonania, godzi się odmawiać wiary a w takim razie, czy wyrok sądu w Kutnej Horze należy uważać za sądowy mord i petycyi lwowskiego rabinatu przyznać słuszność? Czy przeciwnie wszystko to jest jednym więcej dowodem bezwzględnej, nieprzebierającej w środkach solidarności Izraela?

Ludzie stronnictwa odpowiedzieliby bez wahania. Nic łatwiejszego, jak rzucić szablonową formułkę, używaną za hasło i sztandar i założyć ręce w szczęśliwem przeświadczeniu, że frazes taki, to wyjaśnienie wszystkich zagadnień i trudności. Ale gdy się stoi po za stronnictwami i po nad ich waśnią, gdy się nie szuka zaspokojenia osobistej, partyjnej czy szczepowej nienawiści ani też jakiegoś narodowego, czy wyznaniowego interesu, ale tylko prawdy i to samej prawdy, odpowiedź staje się trudniejszą. Czy jest ona w ogóle możliwą? W każdym razie obowiązkiem jest o nią przynajmniej się starać.

Gdybym chciał pójść za osobistym instynktem i popędem, wyznaję, że byłbym skłonny wziąść przysięgę doktora Caro na seryo. Ostatecznie trudno przecie przypuścić, aby w społeczeństwie składającem się z kilku milionów ludzi, nie było ani jednego uczciwego inteligentnego człowieka — a chyba trzeba byłoby to przypuścić, gdyby rabin jednej z większych gmin żydowskich, jaką jest Lwów, poważył się tak straszliwemi przysięgami stwierdzać kłamstwo. Przytem czy podobna myśleć, aby społeczeństwo tak rozumne i zręczne, a zarazem tak praktyczne, jakiem jest przecie społeczeństwo żydowskie, chciało narażać nieustannie swój spokój i nieledwie istnienie rozżarzając przeciw sobie nie-

nawiść mas dla uczynienia zadość zabobonnemu fanatyzmowi. Wreszcie — pogłoska o mieszaniu krwi ludzkiej do mac nie jestże w rażącej sprzeczności z rytualnemi przepisami mojżeszowego prawa, tak ściśle przestrzeganemi przez żydów, a zakazującemi pożywać nawet mięso krwią zbroczone?

Z drugiej strony jednak, gdybyśmy nawet odrzucili w kąt wszystkie stare legendy i kroniki, jak sobie wyjaśnić procesa najnowsze, tak powszechnie znane, jak walczyć z oczywistością w sprawie Hilsnera? *Contra factum non valet argumentum*, a to przecie fakta. Co z niemi zrobić i jak je ze słowami rabina Caro pogodzić?

Spróbujmy znaleść wyjście z tej trudności, przypatrując się okolicznościom pobocznym, mogącym rzucić światło na rdzeń rzeczy.

Jedną z tych okoliczności jest fakt niezaprzeczony fanatycznej nienawiści żydów do chrześcian. Nienawiść ta nie jest owocem prześladowań i ucisku z chrześcijańskiej strony. Kwitła już ona w całej swej dzisiejszej piękności w chwili, gdy faryzeusze z kapłanami spiskowali na życie Zbawiciela i podburzali lud, krzyczący »ukrzyżuj«! Kwitła w chwili, gdy robili zasadzki mordercze na Pawła i przewrotnemi intrygami, oszczerstwem, przekupstwem wywoływali pierwsze prześladowania chrześcian. Chrystyanizm nie miał nigdy i nigdzie równie zaciętych wrogów. Poganie prześladowali go w imię i w obronie odrębnych zasad i zagrożonego własnego bytu, żydzi — tylko z nienawiści. I dziś dążności żydostwa nie ograniczają się do opanowania świata pod względem intellektualnym, finansowym, społecznym i politycznym; na pierwszym planie żydowskiego programu jest zniszczenie wiary chrześcijańskiej, a przedewszystkiem jej najwyższego wyrazu — Kościoła katolickiego.

Trzeba być ślepym, aby tego nie dostrzedz. W całej współczesnej konspiracyi przeciw Kościołowi żydzi są wszędzie głównym motorem. Masonerya, opanowana przez nich obecnie, jest głównym taranem w tej walce. Tak samo prasa, tak samo szkoła, a przynajmniej wszechnica. W »robieniu« opinii żydzi są mistrzami; nikt nie zaprzeczy, że od czasu, gdy oni ją fabrykują, czynią to konsekwentnie w sposób nietylko wrogi Kościołowi, ale z wyraźnym celem zniszczenia go za jakąbądź cenę.

Wyłączność i nietolerancya religijna występuje u żydów jeszcze wyraźniej w ich stosunku do chrześcian. Mniejsza o to, że żyd odsuwa się od chrześcijanina w synagodze i przy jedzeniu: ważniejszem jest to, że wszystkie sprawy ekonomiczne, naukowe, polityczne traktuje on wyłącznie z własnego stanowiska i za jedyne kryteryum zdań i czynów stawia we wszystkiem wpływ i interes żydostwa. Chrześcijanin słysząc muzykę, czytając książkę, patrząc na dzieło sztuki, oddaje hołd talentowi, nie pytając o szczep i wyznanie; nie pyta też o nie schylając czoło przed cnotą i zasługą lub odwracając się od zbrodniarza. Żyd będzie chwalił obraz, koncert, mowę polityczną, dobry uczynek — jeśli to zrobił drugi żyd. Będzie też, choć sam uczciwy, w obronę brać łotrów i zbrodniarzy i zakrywać ich przed sprawiedliwością, jeśli są żydami. Proszę spróbować schwytać złodzieja żyda w żydowskiej dzielnicy! Proszę skrytykować żydowskiego artystę lub literata w żydowskim dzienniku!

Ta zaś stronniczość i odrębność uwydatnia się tem jaskrawiej, że i etyka żydowska znacznie różni się od chrześcijańskiej. Uczciwi ludzie i nieponie są, rzecz prosta, i między żydami, i między chrześcijanami: tylko, że znaczna zachodzi różnica w motywach i źródłach uczciwości u jednych, i drugich, a przytem też i w stosunku wzajemnym uczciwych do nieponiów. Żydowska solidarność kształtuje ten stosunek w sposób dla nas chrześcian zgoła niepojęty. Nie ulega też wątpliwości, że pod niektórymi przynajmniej względami zapatrywania żydów na chrześcian nie zgadzają się wcale z pojęciem tych ostatnich o obowiązkach dla bliźnich.

Nie chcę posuwać się do twierdzenia, że solidarność żydowska mogłaby dla ochrony własnego społeczeństwa uznać za dobre krzywoprzysięstwo, ani też że w księgach religijnych i obyczajach żydowskich znajdują się przepisy wręcz moralności i dekalogowi przeciwne, że wedle tych ksiąg i obyczajów czyny zdrożne w stosunku do żyda, mogą być pochwalone lub nakazane wobec chrześcijan. Ale godzi mi się zapytać, czy wobec całego arsenału faktów, świadczących przeciw tolerancyi, moralności i prawdomowności żydów przysięga jednego lub drugiego rabina może wystarczyć do odebrania wiarogodności mordowi rytualnemu w Polnej? Czy — nie dotykając zresztą kwestyi osobistego przekonania tych rabinów — społeczeństwo chrześcijańskie nie ma prawa od nich żądać czegoś więcej od słów, czy nie ma prawa a nawet obowiązku żądać faktów dla odparcia faktów? Nie chcę roztrząsać, a tem mniej decydować, czy T a l m u d j u d e i tłumaczenie religijnych ksiąg żydowskich przez Rohlinga i Pranajtysa są wiarogodne. Wolno mi jednak w tych kwestyach tak zawiłych postawić znak zapytania i powiedzieć sobie, że dwunastu sędziów przysięgłych zasługuje przynajmniej na tę samą wiarę co dwóch rabinów.

A jakkolwiek w sprawie mordów rytualnych jako takich nic chciałbym zasadniczo sądu wydawać, i nawet nie mógłbym, nie widząc w niej dość jasno, myślę jednak, że mógłbym bez obawy wyrządzenia krzywdy bliźniemu postawić kilka przypuszczeń.

Przedewszystkiem przypuściłbym, że wśród wielu legend i pogłosek o morderstwach rytualnych, pewna liczba opiera się na słusznej podstawie. Przypuszczałbym zaś dla tego przedewszystkiem, bo każda ze spraw podobnych zbyt gwałtownie wstrząsa świat żydowski, aby w niej nie musiała kryć się bodaj odrobina prawdy. Przed oszczerstwem nikt tak się nie broni.

Powtóre przypuszczam także, że jeśli morderstwa takie zdarzają się, nie są one dziełem całego żydowskiego społeczeństwa, ale bądź to jakiejś fanatycznej sekty, których tyle jest wśród żydów, bądź fanatycznych jednostek, których ciągłe rozbudzanie fanatyzmu i nienawiści doprowadziło do zbrodniczego szału. Że jednak szał taki wydarza się od wieków i połączony jest z pewnemi zabobonami, powtarzającemi się niezmiennie, godzi się nazwać morderstwo, przez szaleńców podobnych popełnione, mordem rytualnym.

Sądziłbym dalej, że jak długo nie będzie na to równie wyraźnych dowodów, jak fakta odnoszące się do rytualnych mordów, nie podobna jest twierdzić, że krew wypuszczoną ze swych ofiar, żydzi całego świata używają do mac lub obrzędów po synagogach, jakkolwiek zabobonny jakiś cel zdaje się nie ulegać wątpliwości. Podejrzenie na ogół żydowstwa rzucane w tej sprawie, będące u większości — przeświadczeniem, jest smutnem następstwem stałego solidaryzowania się tego ogółu ze zbrodniarzami, winowajcami rytualnych mordów.

Zdaje mi się w końcu, że prośba wystosowana przez lwowski rabinat do rządu znalazłaby najwłaściwsze załatwienie i stałaby się bezpodstawną, gdyby użyto dwóch środków. Jeden leży w rękach samych żydów, drugi w rękach rządu. Gdyby rabini a za ich przykładem wszyscy uczciwi i wpływowi żydzi rozpoczęli (nie dla oka ludzkiego oczywiście ale szczerze i gruntownie) kampanię wśród swych współwyznawców w celu złamania ich osławionej solidarności aż do występku włącznie i gdyby zamiast dążności do monopolu i ujarzmienia kraju starali się stać sami i innych uczynić istotnemi kraju tego obywatelami, społeczeństwa członkami — społeczeństwo chrześcijańskie nauczyłoby się także robić różnicę między żydem zbrodniarzem a żydem uczciwym. I gdyby rząd raz zrozumiał, że należy dotrzeć do źródła rany gangrenującej żydowskie społeczeństwo i wniknąwszy w głąb tajników kahału, synagogi, chederu wytępić w zarodku czynniki ujemne, czyniące żydów państwem w państwie i rakiem na zdrowym organizmie społecznym, więc fanatyzm, ciemnotę, religijną i szczepową nienawiść — wówczas ustałyby ze strony chrześcijan podejrzenia, zarzuty, niechęcie — więcej, bo ustałaby sama kwestya żydowska.

+

Kazanie na niedzielę XXI. po Świątkach.

„A Pan zlitowawszy się nad onym sługą, wypuścił go i dług mu odpuścił". (Mat. XVIII. 27).

Dług tak wielki, wynoszący dziesięć tysięcy talentów, odpuścił jednak ów pan słudze swojemu. Jakiż to pan dobry! Choć sługa ów prosił go jedynie, aby mu dług jego poczekał, choć i obiecywał, że dług ten później w całości mu odda. *„Miej cierpliwość nademną, a wszystko tobie oddam"*. On jednak więcej mu daje, niżeli on prosi, on mu cały dług odpuszcza. Jakiż to pan dobry!

Czy pana takiego znaleść i dzisiaj na świecie? Nie wiem. To wiem jedynie, że takim dobrym Panem, szczodrym i miłosiernym jest Pan i Bóg nasz. Wiem, że On w każdej chwili gotów nam dług i największy odpuścić, winę i największą zmazać z nas zupełnie. Wiem, ze On grzechy nasze, jak szkarłat czerwone i nad śnieg nawet gotów jest wybielić. Oto Pan dobry, nieskończenie dobry! Cóż więc, azali za tę dobroć swoją On sobie u nas na miłość naszą nie zasługuje? Nie inaczej. Kochajmy więc Boga naszego. Jakoż o tej miłości naszej względem Pana Boga mówić dziś będziemy, pytając się:

1. *co nas do miłości Bożej nakłania,*
2. *kto prawdziwie Boga miłuje.*

I.

Czy jednak człowiek zdolen jest miłować? Niezawodnie, bo serce ma, a przeznaczeniem serca naszego jest miłość. Bo ręka do pracy, noga do chodzenia, oko do patrzania, a serce do miłości stworzone. Każdy więc ubogi i bogaty, uczony i prostak, król i poddany, chory i zdrowy, każdy miłować jest zdolen. A zresztą miłujesz żonę swą, dzieci swoje, brata, siostrę, sąsiada. Jeżeli tak, to i Boga czemuż nie mógłbyś miłować?

Czy wolno mi jednak miłować Boga? — Prawda, Pan to wielki Patrzę na niebo, oto własność Jego, patrzę na ziemię, i ona Jego własnością. — Pan to wielki. Widzę, że słońce o jednym czasie wschodzi i zachodzi, że niebo raz niebieskim płaszczem odziane, raz znowu czarnemi pokryte chmurami; wiem, że On sam wszystko to sprawuje, bo głosu Jego wszelkie słucha stworzenie. — Pan to wielki. Spojrzę wśród lata na łany szerokie, na te łany żyta, pszenicy i wydatność ich zmierzę. I zdumiewam się cały i pytam: kto dał tej ziemi tę siłę rodzajną? Ten, którego tronem niebo a ziemia podnóżkiem. I wszystko co jest, od Niego jest, w Jego rękach wszystko spoczywa. Jakiż to Pan i wielki i możny!

To jakże, czy Pana tak wielkiego miłować mi wolno? Bom ci ja robak tylko i proch. Jam ci jako trawka tylko, co dziś jest, a jutro bywa w piec wrzucona. A więc czy mogę ja pokusić się o to, abym tak wielkiego Pana miłował? Między ludźmi, co prawda, zagrodnik nie myśli o miłości córki bogatego kmiecia. Nie słyszano też nigdy, aby żebrak jaki sięgnął sercem swojem po córę królewską. Tu jednak inaczej. Bóg sam ci powiada: będziesz mnie miłował. *Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej* (Mat. 22. 37.). Nie dość, ze ci pozwala miłować siebie, ale ci jeszcze i rozkazuje. — Ależ Panie, to Ci sromotę tylko przyniesie, żeby człowiek, stworzenie tak nędzne, Ciebie miłował. A Bóg powiada: *»daj mi serce twoje«*. Niczego ja więcej od ciebie nie chcę, jeno serca twego, jeno twojej miłości. To szczęściem mojem, to weselem mojem, daj mi serce twoje. — O jakże dobrym jest Pan i Bóg nasz!

Za cóż jednak mam ci ja Boga miłować? że mnie stworzył On mi życie dał, łaska to wielka. On sam ukształtował to ciało moje, te oczy, uszy, usta, ręce, nogi moje. On to wszystko sam ukształtował. *„Ręce Twoje uczyniły mnie i ulepiły mnie«* (Ps. 118. 73.). Łaska to wielka. I oczy moje spoglądają teraz na dzieła rąk Twoich mój Boże, na to niebo zasiane wśród nocy gwiazdami, na tę ziemię przystrojoną w kwiaty, i widokiem tym ja rozkoszuję się bardzo. — Ponury głos grzmotów, straszny szum lasów odwiecznych słyszą uszy moje, a wtedy przeraża mnie Twoja potęga. Słyszę i ptasząt śpiew melodyjny, a to weselem napełnia me serce A kiedy językiem moim przemówię, serce moje naonczas otwieram przed bratem, i złą z nim dzieląc się dolą i dobrą. I dobrze mi wtedy. I te ręce moje i te nogi moje, i one służą mi ku rozweselaniu życia mojego. Dobrze więc uczyniłeś Panie, żeś ukształtował me ciało, żeś mnie stworzył.

A w samem stworzeniu naszem jakże nas jeszcze wielce Bóg wywyższył. Uczynił nas bowiem na obraz swój, na swe podobieństwo. *»Uczyńmy człowieka na wyobrażenie i podobieństwo nasze«* (Gen. 1. 26.). *„Cóż jest człowiek, iż go wielmożysz? albo co przykładasz ku niemu serce Twoje"* (Job 7. 17.). Bo chwała w tem wielka, zaszczyt niezrównany, podobnym być Bogu samemu. I tak jest, żeśmy Bogu i Stwórcy naszemu podobni. A w czemże? Bo mamy rozum, kiedy go inne stworzenia na ziemi nie mają, mamy jeszcze i wolną wolę. Dwa to natury naszej klejnoty — rozum i wolna wola. Tak i Bóg to istota rozumna i wolna, rozumna bez miary, wolna ku wybieraniu tylko dobrego. — I ty tak samo rozum masz, abyś poznawał Boga swojego i swe przeznaczenie, masz i wolną wolę, abyś sięgnąć mógł po ogień lub wodę. I oto podobieństwo moje do Ciebie mój Panie.

Skądże mi jednak i rozum i wolna wola? Bo duszę mam, duszę nieśmiertelną. I tę duszę moją Ty Panie stworzyłeś i zakreśliłeś jej przeznaczenie wielkie. Ona to z Tobą wraz ma w Twojem panować królestwie, szczęściem Twojem się cieszyć i posiadaniem Ciebie samego na wieki.

To czemże jest złoto porównane z tobą człowiecze? czem srebro, perły, drogie kamienie? Żywot ich krótki potrwa do czasu, a tyś do wieczności stworzony. Czemże jest i niebo z milionem gwiazd swoich, czemże i ta ziemia z całem swojem bogactwem? I to wszystko za gnój jedynie poczytam, kiedy wspomnę sobie, jak wielkim stworzyłeś mnie Boże. U nóg więc Twoich upadam i dzięki Ci czynię, żeś mnie stworzył, żeś mnie tak niezmiernie uzacnił. Bom ja Tobie samemu podobny i z Tobą na wieki mam w niebie przebywać.

Bóg człowieka stworzył dla nieba. Chciał On z nim chwałą się swoją podzielić, szczęściem swojem, bogactwem swojem, bo go dziedzicem swego królestwa uczynił. Ale człowiek tem królestwem pogardził. Zgrzeszył i bramy nieba zamknął przed sobą. I sam się z chwały nieba wyrzucił, sam szczęście wiekuiste odepchnął od siebie. I przepadł może na wieki?

Nad stajenką betleemską rozbrzmiewa tam ten głos aniołów: *„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli"* (Łuk. 2. 15.). Tam w tej stajence Chrystus Jezus odpoczął w żłóbeczku i Jemu to aniołowie śpiewają pieśń tę ku Jego chwale, a nam ku pokojowi naszemu. — A ten Jezus Chrystus to Syn Boży, Bóg prawdziwy, który z miłości ku nam człowiekiem się stał i do nas tu przyszedł, aby szukać i zbawić, co było zginęło. Bogiem będąc od wieków, w czasie On człowiekiem się staje. Boski majestat swój ukrywa pod człowieczeństwa swego osłoną, aby tylko z tej ziemi podnieść człowieka do nieba. Co za wielka miłość Jego?

Stary Tobiasz nie mógł się nadziwić, że P. Bóg synowi jego anioła Rafaela dał za przewodnika, który go w czasie drogi jego prowadził i zdrowo przyprowadził do domu. Skoro się o tem dowiedział i on i cały dom jego, *strwożyli się, a upadłszy na oblicze swoje przez trzy godziny błogosławili Boga* (Tob. 12.). A nam nie anioła dał Bóg, ale Syna swego Jezusa Chrystusa, który w postaci człowieka do nas tu przyszedł, aby nam przewodnikiem być na drodze zbawienia. *„Tak Bóg umiłował świat, iż Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny"* (Jan 3. 16.). — Co za wielka miłość Jego!

Pomnij jednak, jak wiele kosztowało Go to zbawienie twoje. Aż na krzyż podał On ręce swe i w boleściach niepojętych umarł tam pomiędzy łotrami, w cierniowej na głowie koronie. Choć tego nie byliśmy godnymi. *„Ledwie kto umiera*

za sprawiedliwego, lecz Bóg zaleca miłość swoją przeciw nam, że gdyśmy jeszcze byli grzesznymi, Chrystus za nas umarł" (Rzym 5. 7. 8.). Kiedyśmy jeszcze Boga byli nieprzyjaciółmi, Chrystus umarł za nas, niepojętą miłość swą tak nam pokazując. Za taką cenę dopiero, za cenę życia swojego On nas z Bogiem pojednał i zbawienie nam nasze zapewnił. I za taką miłość, ty byś się nie miał miłością Bogu twojemu odpłacać?

I cóż więcej mógł dla ciebie P. Bóg uczynić? — Stworzył cię i wycisnął obraz swój i podobieństwo swoje na tobie, obdarzył cię duszą nieśmiertelną, niebo przeznaczając ci na wieczne twoje mieszkanie. Ale z tego nieba grzech cię wytrącił. I cóż wtedy czyni Bóg dla ciebie? Człowiekiem się staje i w mękach niepojętych umiera na krzyżu, i tak duszę twą ocala dla nieba. Cóż więcej mógł jeszcze dla nas uczynić?

A za to wszystko jednego On od ciebie pożąda: abyś Go miłował całem sercem swojem. Pewien sługa Boży w krzyż się wpatrując, mówił sam do siebie: »patrz na Boga twojego na krzyżu! Ażali się jeszcze na grzech odważysz? Patrz na tego Boga na krzyżu, i skarż się na uciski swoje! Patrz na Boga na krzyżu i rozważaj, jak On wszelkiej miłości jest godzien«. Tak, Ty sam jeden Boże nasz godzien jesteś miłości naszej.

Oto, co nas do miłości Bożej nakłania: nasze stworzenie, nasze odkupienie. *„My tedy miłujmy Boga, iż Bóg nas pierwej umiłował"* (I. Jan 4. 19.).

II.

Kto jednak Boga prawdziwie miłuje? Są bowiem, którym się wydaje, że Boga miłują, choć nic zgoła, ani odrobina ich serca doń nie należy. I pytać kolejno jednego po drugim: miłujesz ty Boga? odpowie: jakżebym nie miłował Boga, który mnie stworzył, nie miłował Jezusa Chrystusa, który mnie tak drogo odkupił? Całem sercem ja Boga miłuję. Czemuż tak powiada? że pacierz mówi, do kościoła chodzi, czasem spowiada się i komunikuje. Na tem on całą miłość swoją ku Bogu opiera, choć i w kłótniach żyje, choć i brata ukrzywdzi, choć nie dba o dobre wychowanie dla swych dzieci. Ale taki samego siebie tylko oszukuje. Św. Jan apostoł powiada: *»Synaczkowie moi, nie miłujcie słowem ani językiem, ale uczynkiem i prawdą"* (I. 3. 18.).

A uczynkiem i prawdą ten przedewszystkiem miłuje Boga, kto się grzechu wystrzega. Tak się zachowujesz zresztą i względem człowieka, którego miłujesz, że mu żadnej krzywdy nie czynisz, że go niczem nie zmartwisz. A oto grzech to krzywda wielka, wyrządzona Bogu, wielkie to dla Boga zmartwienie. Grzech krzywdą wyrządzoną Bogu, kto bowiem grzeszy, mówi niejako: nie znam Cię Boże, ani słucham przykazań Twoich. Nie znam Cię, ani się Ciebie obawiam, choć jesteś wszechmocnym, choć kary niepojęte w ustach swych trzymasz na grzesznika. Ani tych kar Twoich ja się nie obawiam. Jakaż to krzywda dla Boga, tak się z Niego urągać! Ale i zmartwieniem dla Boga jest grzech. Kiedy za czasów Noego wszystek się naród zepsował i żył wedle namiętności swoich, *widząc to Bóg, żal Mu było, że uczynił człowieka na ziemi i ruszony boleścią serdeczną wewnątrz, rzekł: Wygładzę człowieka, któregom stworzył z oblicczności ziemi"*. (Gen. 6. 6, 7) Słyszysz, jak niezmiernie zasmucił się Bóg na widok grzechów człowieka, że aż boleść serdeczna wnętrzności Jego targała. A ty przecie powiadasz, że Boga miłujesz, choć Mu i krzywdę czynisz grzechami twoimi, choć Serce Jego i smutkiem napełniasz.

Eleazar, biegły w Piśmie Star. Zak. miłość swą ku Bogu inaczej jednak pojmował. Antyoch, okrutny król syryjski, kazał mu koniecznie jeść mięso wieprzowe, co prawo Mojżeszowe zabraniało surowo. Kaci królewscy, litując się nad nim, podawali mu wprawdzie mięso inne, którego było wolno pożywać, mówiąc: udaj tylko, że mięso jesz wieprzowe, a tak się przy życiu zachowasz. Ale Eleazar powiedział: wolę umrzeć, niżeli zmyślać i młodzieńcom zły przykład zostawiać, żem ja starzec dziewięćdziesięcioletni zwyczaje pogańskie przyjął. *„A gdy od bicia umierał, westchnął i rzekł: Panie, który masz świętą znajomość, Ty wiesz jawnie, że ja mogąc być od śmierci wybawion, ciężkie boleści na ciele cierpię, wszakże według duszy dla bojaźni Twojej rad cierpię"*. (II. Mach. 6. 30). Tak on z tego świata zeszedł, zostawiając i nam przykład rzetelnej miłości Boga. — Niechże przykład ten przed oczyma ci stoi, abyś wiedział, kto Boga miłuje, że ten Go miłuje, kto się grzechów strzeże.

Ale prawdziwy miłośnik Boga nie jeno wystrzega się grzechu, on pełni jeszcze i dobre uczynki. Z każdej sposobności korzysta on, aby Bogu pokazać, że Go prawdziwie miłuje. Podobnie postępujesz sobie i ty względem osoby ukochanej przez ciebie. Na każdym przecie kroku dajesz jej dowody, że masz serce dla niej. Wszystko, o czem wiesz, że to jej sprawi przyjemność, wszystko to spełniasz przecie najchętniej. I jakie to nieraz wielkie ofiary ponoszą ludzie dla ludzi, skoro ich miłują. Wszak matka niejedna i życie własne chętnieby oddała, byle uratować życie dziecka swojego.

Tak i ten, kto Boga prawdziwie miłuje. I on nie zna granic ofiarom swoim, poświęceniu swojemu. Pamiętajmy wszelako, że co czynimy bliźniemu, to samo i Bogu czynimy. *„Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili„.* (Mat. 25. 40), powiada P. Jezus. A św. Jan apostoł: *„Jeśliby kto rzekł, że miłuje Boga, a brataby swego nienawidził, kłamcą jest. Albowiem kto nie miłuje brata, którego widzi, Boga, którego nie widzi, jako może miłować"?* (I. 4. 20).

Było to w Paryżu, gdzie żył pewien człowiek w grzechu nieczystości, a św. Ignacy Loyola nie mógł go odwieść od tego nałogu. Aż raz dowiedział się on, że człowiek ów miał wyjść znowu za miasto, aby tam ów grzech nieczysty popełnić. Cóż on więc robi? Oto zabiega mu drogę i staje w jednem jeziorze aż po samą szyję. A kiedy ów człowiek tamtędy przechodził, zawołał św. Ignacy: »idź, idź na tę sprośność, nie widzisz pomsty Bożej nad sobą? Ja tu za ciebie pokutę czynić będę, aż sprawiedliwy gniew Boży od ciebie oddalony będzie«. I usłyszał to ów człowiek i wrócił się i upamiętał.

A tobie czy dobro bliźniego też na sercu leży? Widzisz dzieci twe, jak bez Boga żyją, czy je upominasz? Widzisz czeladź twą, jak zaniedbuje obowiązki swe i względem Boga i względem swej duszy, czy masz o to staranie, aby ją poprawić? A kiedy sąsiad twój jęczy i stęka w chorobie, czy go też nawiedzasz? Czy rad wspierasz ubogich? smutnych pocieszasz? grzeszników na dobrą naprowadzasz drogę? Bo wtedy dopiero ty Boga prawdziwie miłujesz.

A jeszcze oznaką Bożej miłości i to, kiedy cierpienia z pokorą znosisz i z poddaniem się pod wolę Bożą. Niech ci tu wzorem będzie Job patryarcha. Wszystko odebrał mu Bóg: majątek, dzieci, zdrowie, on nie przestał jednak i wtedy Boga miłować. Powiadał sobie: *„Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione"*.

A święci męczennicy, jakież oni srogie cierpieli katusze z miłości dla Boga. Św. Ignacy, uczeń św. Jana apostoła, na męki wiedziony, wołał: »Niech przyjdzie na mnie ogień, krzyż, zwierz dziki, gruchotanie kości, rozrywanie członków, zmiażdżenie ciała całego i wszystkie tortury, bylebym Chrystusa pozyskał«. Choć lat 80 liczył, a ochotnie ofiarował się na wszystkie katusze z miłości dla Boga. Między innemi rozkazał sędzia pogański: »otwórzcie mu ręce, nasypcie mu ognia, bosemi nogami każcie mu chodzić po węglach żarzących; otwórzcie mu usta, wlejcie mu wody kipiącej. Zobaczymy, czy tej miłości jego ku Bogu nie zdołamy jako ugasić«. A św. Ignacy odpowiedział na to: »Ani ogień palący, ani woda kipiąca nie ugaszą we mnie miłości Bożej«. I stało się tak. Miłość jego ku Bogu nad te wszystkie męczarnie była silniejszą, że umarł jako męczennik. — A nasza miłość ku Bogu jakże ona blednieje wobec tej miłości. Lada przykrość, lada ucisk, lada ból jaki, a w sercach naszych miłości Bożej już nie ma. Czemuż tak? Bo my siebie tylko kochamy, ciało swoje, wygody swoje, życie swoje i zdrowie.

Św. Franciszek z Assyżu, przebiegając i góry i lasy, płakał rzewliwie. Pytano go: czemuż tak płaczesz? Odpowiedział: »jakże mi nie płakać, jak mi się nie skarżyć, skoro Miłość miłowaną nie jest?« A nam by zapłakać nad sobą, że tak mało, a może i nic nie miłujemy Boga naszego. Bo Go obrażamy grzechami, bo i serce i ręka nasza dla bliźnich zamknięte, bo w lada przykrościach wnet już narzekamy.

Pewnego razu św. Jan apostoł wraz z swymi uczniami zstępował z tej góry do domu, na której ich prawd Bożych nauczał. Wtedy to patrzą, a oto drzewo palmowe uschnięte u nóg ich leży na ziemi. Burza złamała pień jego, zgruchotała konary jego, a korzenie z ziemi wyrwała i ono uschło mizernie. Tu starzec święty zatrzymał się, a twarz jego miłości pełną wnet boleść pokryła. »Patrzcie — powiedział — oto obraz tych ludzi, którzy się oderwali od miłości Bożej! I siła i źródło życia ich usycha, a wonny kwiat wśród liści więdnących umiera«. I łza mu w oku zadrgała, i rzekł: »Synaczkowie, Bóg jest miłością, a kto Miłość miłuje, ten w Bogu mieszka, a Bóg w nim«. Amen. *Ks. W. P.*

KORESPONDENCYA.

Otrzymujemy następujące pismo:

Wielce Szanowna Redakcyo!

Jako zaczepiony — proszę o ogłoszenie łaskawe bez zmian w najbliższym numerze. Ponieważ artykuł i tak krótki, więc proszę go nie dzielić. Może być, że zaniecham wydawnictwa Dwutygodnika, który dla Wielce Szanownej Redakcyi tak jest widać solą w oku.

Z poważaniem *X. W. Gadowski.*

Paradoks czy racya?

Odwracając pytanie, które już tyle razy figurowało na szpaltach *Gazety kościelnej*, nie myślę bynajmniej zaznaczać z góry stanowiska odwrotnego, przeciwnego autorowi, lecz poprostu usiłuję wprowadzić pewne urozmaicenie w napisach. Zabierając głos, a raczej kontynuując to, co napisałem już w *Dwutygodniku katechetycznym* (str. 82—84), nie mam, podobnie jak Szan. Autor, pretensyi do nieomylności, lecz piszę co mi się wydaje słusznem, tembardziej, że jestem poniekąd wyzwany — oczywiście *salva sententia meliori*.

Przedewszystkiem wypowiadam Szan. Autorowi serdeczne podziękowanie za poruszenie publiczne sprawy katechizowania. Jestto sprawa tak ważna, iż nie sam tylko *Dwutygodnik katechetyczny* powinien o niej pisać. Pierwsza serya artykułów, dowodząca potrzeby zastąpienia w szkołach średnich teologii powiększonym katechizmem, ma — zdaniem mojem — najzupełniejszą racyę, i dlatego myśl tę rozwinąłem bliżej w Dwutygodniku. W drugiej seryi jest również wiele twierdzeń lubo nie nowych ale tak ważnych, iż nie zaszkodzi często je przypominać. Tak n. p. ogół księży pisze się na to (zresztą potwierdza to i prawo kościelne n. p. uchwały soboru trydenckiego), że »szkoły ludowe powinny być jeszcze bliższe sercu naszemu«, niż szkoły średnie. Nie ulega też wątpliwości, że przy nauce religii powinno więcej jeszcze niż przy nauce innych przedmiotów »zależeć na usunięciu monotonii«, na wyrugowaniu biurokratycznej zawiłości i drobiazgowości, na swojskości i prostocie tak podręczników jak wykładu. W tem wszystkiem ma Autor zupełną racyę, a zobowiązuje mię nawet do wdzięczności za mimowolne zapewne poparcie zeszłorocznych artykułów Dwutygodnika w sprawie swojskiego katechizmu.

Natomiast uderzyła mię niemile w drugiej seryi artykułów pewna — jak mi się zdaje — animozya przeciw dydaktyce i jej stosowaniu przy nauce religii, a zwłaszcza ton przekąsu, z jakim Autor wyraza się o »księżach katechetach nowej szkoły, zwolennikach (zdaniem jego) metody niemieckiej«. Zostawmy personalia na ostatek, a rozpatrzmy się w meritum rzeczy.

Przedewszystkiem muszę stwierdzić, że żądanie Autora jest w poważnej literaturze Kościoła niemal całkiem nowem, a to już nie jest zaletą. Pierwsze dzieła dydaktyczne chrześcijańskie pisali, jak wiadomo, liczni Ojcowie Kościoła (zwłaszcza św Bazyli, Hieronim, Augustyn) i na nich dopiero, na prawidłowej nauce religii — wzorowała się metodyka innych przedmiotów; z nich czerpała (dzieła „*de catechisandis rudibus*“) zasady elementarności, gruntowności, nauczania w kołach koncentrycznych, zainteresowania nauką i t. p.: z nich wzięła i ową naczelną maksymę: „*ut veritas pateat, placeat, moveat*«. Bogata literatura katechetyczna w dziejach Kościoła, liczne instrukcye dydaktyczne, dawane także przez synody polskie, świadczą, że znajomość dydaktyki uważał Kościół zawsze za nader ważną pomoc przy nauczaniu religii, to też zasadnicze przepisy dydaktyki ujrzeć można w każdem prawie dziele, traktującem o teologii pasterskiej. I dlaczegoż nagle mielibyśmy zrywać z dydaktyką a ograniczać się jedynie do tak elastycznej rzeczy, jak »zdrowy rozsądek«? Czyż nie mają n. p. zdrowego rozsądku ci duszpasterze, którzy (sądząc z ubolewań Autora) zamiast nakazanego katechizmu »średniego« poprzestają na »małym« katechizmie przez wszystkie 6 lat nauki? A czyż nie mieli zdrowego rozsądku ci Ojcowie Kościoła i inni pedagogowie, którzy po długiem doświadczeniu zestawili prawidła dydaktyki? Usunąć dydaktykę, a kazać się kierować jedynie takim ogólnikiem, jak »zdrowy rozsądek«, znaczy tyle, jak n. p. usunąć całkiem homiletykę a mówić kazanie jedynie według »zdrowego rozsądku«, owszem porównanie to wyjdzie nawet na niekorzyść dydaktyki (używam stale wyrażenia Autora; z mojej strony wolałbym mówić o katechetyce), bo łatwiej nauczać dorosłych niż dzieci i snadniej przy dorosłych można się spuszczać na to, co podda zdrowy rozsądek, aniżeli wobec maluczkich.

Jeśli dobrze zrozumiałem Autora — bo w części pozytywnej pisze nie dość konkretnie — to zaleca on »wykład popularny, serdeczny, wolny od urzędowej sztywności« i t. d. a nie jest zwolennikiem odpytywania. Zgoda na serdeczność i wykluczenie sztywności, ale... czy nie przesadza Autor w zachwalaniu wykładu dla maluczkich? Co innego uczyć kilku chłopców, jak Długosz synów królewskich — »nie ma tam nic trącącego szkołą w pospolitem słowa tego znaczeniu«, co innego zaś uczyć w rzeczywistej szkole, prowadzić (jak na wsi) sto i więcej dzieci równocześnie! Kto i tam katechezę zamieni w kazanie, choćby najrzewniejsze, przekona się rychło, że mała tylko cząstka uczniów coś z tego skorzysta; większość przestanie uważać a zatem nie zbuduje się pod względem moralnym, a tembardziej nie zapamięta zasadniczych nawet prawd wiary. Nie sądzimy też, aby Autor na seryo miał obstawać przy nieprzerywanym wykładzie.

Zkądżeż to jednak poszło, że tak rozważny i sympatyczny Autor popadł w paradoksy? Oto zdaje mi się, że z prostej . przesady. Zarówno bowiem grzeszą przesadą ci, którzy w pogoni, nie za metodami, lecz za »kruczkami dydaktycznymi« zapominają o tem, *ut veritas placeat et moveat*, a co gorsza odzierają naukę religii z jej szaty świętości — jak i ci, którzy działają tylko na uczucia, a nie troszczą się zarazem o to, *ut veritas pateat*, aby uczeń nauki religii pojął i coś z niej na całe życie zapamiętał. Prawda leży w pośrodku, a wskazuje ją owa katechetyka, do której Autor taką czuje antypatyę. Gdyby przeczytał chociażby szkic katechetyki, ogłoszony w *Dwutygodniku katechetycznym* w r. 1897 (jako instrukcya dyecezyalna), to przekonałby się, że nie jest to rzecz tak zła, jak się Autorowi przedstawia, że osobistych uchybień tego lub owego katechety nie można kłaść na karb dydaktyki, jak również czułostkowych i niepraktycznych kazań na lekcyach szkolnych nie możnaby wysnuć z pojęcia pobożności i t. p.

O ile słowa Autora mają za cel przestrzedz przed oschłością w nauce religii i przypomnieć potrzebę namaszczenia religijnego i poruszenia serc dziecięcych, o tyle należy przyjąć je z wdzięcznością, jeśliby jednak miały pobudzić do porzucenia wypróbowanych zasad katechetycznych i do wygodnego (bo niewymagającego przygotowania) chaosu dowol-

nych wykładów sentymentalnych, o tyle uznaćby je trzeba za fatalne!

A cóż powiedzieć o nieszczęsnych katechetach nowej szkoły? Zaczepiony (ks. Waligóra) zapewne sam się zechce bronić, lecz czy nie wolno zapytać, na jakiej podstawie Autor twierdzi, że istnieje nowa szkoła katechetów, zamiłowanych w szablonie niemieckim i t. p. W *Dwutygodniku* przynajmniej tylko dwóch autorów pisało w r. 1897 w duchu, jaki Autor wytyka (ogółem 3 — wyraźnie trzy katechezy) i zaraz w następnych numerach spotykało się z krytyką Veraxa i Sfinksa, a natomiast 20 (dwadzieścia) katechez w r. 1897, a 15 (piętnaście) w r. 1898 — że już nie mówię o wszystkich katechezach w roczniku bieżącym — opracowano w myśl wspomnianej instrukcyi katechetycznej tak, iż szanowny krytyk nic w nich nie wytknął; czyż można na tak wątłej podstawie mówić zaraz o nowej szkole katechetów? Krytyka jest nam wszystkim potrzebną, a co do mnie osobiście byłbym za nią wdzięczny, ale tylko wówczas, gdy się w niczem nie rozmija z prawdą, gdy nie generalizuje i nie przesadza. Zapewne Autor nie zrobił tego ze złej woli, ale złe przez to materyalnie nie jest mniejszem. A czy rozważył szanowny Autor, jak fatalne hasło rzuca między Współbraci, dzieląc ich na dwa przeciwne rzekomo obozy: starszych i młodszych? Szczycę się z tego, że posiadam zaufanie u wielu »młodszych« Współbraci i wiem, z jakiem zaparciem się pracują na niwie szkolnej — miałem też szczęście zyskać przychylność wielu starszych Braci-kapłanów i podziwiałem u wielu ogrom wiedzy katechetycznej i doświadczenia szkolnego, ale rzeczywistego jakiegoś antagonizmu jednych ku drugim nie znalazłem ani cienia i niech nas Bóg broni, aby kiedyś do takiego rozdziału przyjść miało. Nie dzielić się nam w tych ciężkich dla Kościoła czasach, lecz jednoczyć jak najściślej potrzeba — łączyć się n. p. w związek katechetów, który nietylko na katechetów ale i na sędziwych proboszczów jest obliczony — bo tylko w ten sposób przy usilnej pracy i pomocy Bożej wywalczymy lepszą dla Kościoła przyszłość. Wierzę nawet, że i Autor pragnie tego samego, że tylko skutków swych słów nie obliczał i dlatego ufam, że temi uwagami rzeczywiście się nie obrazi.

Ks. Walenty Gadowski.

Odpowiedź Redakcyi.

Chcąc przyspieszyć ogłoszenie powyższej polemiki, nie odesłaliśmy rękopisu do autora inkryminowanych artykułów, by uczynił uwagi, jaki uzna za stosowne, lecz, wyręczając go, zamieszczamy od siebie kilka słów odpowiedzi.

Ktokolwiek uważnie a bez uprzedzenia czytał drugą seryę artykułów, ogłoszonych w *Gazecie kościelnej* pod tytułem: »Racya czy paradoks«, temu myśl przewodnia autora i jego intencye są jasne. Formułujemy je w następujący sposób:

Religia (t. zn. znajomość i cześć Boża) jest wytworem wszystkich władz duszy ludzkiej: rozumu, który poznaje i uznaje Boga, jako Pana i Ojca; uczucia, które lgnie ku temu Panu i Ojcu miłością pełną uszanowania; woli, która pełni przykazania Boże.

Z tego wynika, że nauka religii, jeśli ma wszechstronnie spełnić swoje zadanie, powinna działać na wszystkie władze duszy ludzkiej w tym celu, by je wszystkie pozyskać dla Boga.

Czy to się dzieje w naszych szkołach początkowych?

Do niedawna księża parafialni obok pasterzowania w szerszem słowa znaczeniu trudnili się także nauczaniem dziatwy szkolnej. Obecnie otrzymaliśmy samoistnych katechetów, którzy wyłącznie pracują w szkołach ludowych. Są to przeważnie ludzie młodzi, może nieco przeczuleni na punkcie swej wagi i powagi, lecz zacni: oddają oni się nauczaniu z zamiłowania (boć stosunki materyalne nie zachęcają ich do obranego zawodu*), sumiennie robią wszystko, co uważają za swój obowiązek; praca ich zaś byłaby jeszcze skuteczniejszą niż jest, gdyby im dano lepsze podręczniki szkolne, gdyż obecnie używane mieszczą w sobie za wiele treści, za wiele abstrakcyi, za wiele nomenklatury naukowej; wyczerpanie tedy materyału jest rzeczą niesłychanie trudną i bezustannie kusi katechetę, by wobec szczupłości godzin szkolnych, któremi rozporządza, poprzestał na wyjaśnianiu wyrazów i pojęć, czyli oświecał rozum, a nic sobie z tego nie robił, że serca dziatwy są głodne, wszak *ad impossibilia nemo obligatur*. Jestto fatalna jednostronność, jeżeli bowiem za kalekę mamy człowieka, któryby posiadał kadłub mężczyzny, a nogi dziecka, to kaleką, jeszcze więcej na politowanie zasługującym, jest istota, u której jedna władza duszy rozwinęła się na niekorzyść innych.

To a nie co innego chciały powiedzieć i powiedziały artykuły p. t. »Racya czy paradoks«.

Że artykuły te tam, gdzie upominają się o prawa serc dziecięcych, nie walczą z wiatrakami, tego dowodzą choćby »katechezy dla 3—6 lat nauki w szkołach jednoklasowych« z *Dwutygodnika katechetycznego*, na które ks. Gadowski się powołuje*). Autor tych »katechez« jak ognia wystrzega się każdego cieplejszego słowa, a tylko w »aplikacyach« zaznacza ogólnikowo, na jakie uczucie religijne możnaby w danym razie u dzieci podziałać, nie podając na to żadnego wzoru. Widocznie sądzi, podobnie jak ks. Gadowski, że działanie na serce to »chaos dowolnych wykładów sentymentalnych, nie wymagających przygotowania«, gdy tymczasem każdy, kto miał z dziećmi do czynienia, wie, że łatwiej nierównie, przy pewnej wprawie, *ex abrupto* rozwijać metodycznie pojęcia religijne, niż bez przygotowania trafić do serca dzieci. Nie przeczymy, że t. zw. »katechezy dla 3—6 l. nauki w szkołach jednoklasowych« zawierają wiele cennego materyału katechetycznego; pytania tam umieszczone są zazwyczaj trafne, dobrze ugrupowane i sformułowane tak, że mogą urobić jasne (o ile to u dzieci możliwe) pojęcia religijne, ale to jest tylko działanie rozumu na rozum, nie zaś działanie całego człowieka na całego człowieka; to nie katecheza, lecz fragment, torso, szkic, co najwyżej. Sprzedawać te rzeczy za zupełne katechezy, to znaczy wprowadzać czytelnika w błąd, postępować jak postąpiłby n. p. rzeźbiarz, który zobowiązał się wykonać posąg, a odstawił popiersie.

Niesłusznie ks. Gadowski czyni zarzut autorowi rozprawki p. t »Racya czy paradoks«, jakoby potępiał w czambuł wszelką dydaktykę; występuje on tylko przeciw takiej dydaktyce, jakiej przykłady jaskrawe przytoczył.

Niesłusznie także ks. Gadowski wmawia w niego, że jest przeciwnikiem odpytywania i radby zastąpił katechezę samym wykładem, czyli »rzewnem kazaniem«. Nie! Autorowi chodzi tylko o to, aby w szkole nie zaniedbywano kultury serc dziecięcych, mówi zaś o »wykładzie« dla tego, że do serc nie trafia się przecie tokiem heurystycznym, lecz stosownym wykładem

Ks. Gadowski zapytuje, na jakiej podstawie wypowiedziano twierdzenie, ze istnieje »nowa szkoła katechetów zamiłowanych w szablonie niemieckim«? Odpowiadamy: Nie da się zaprzeczyć, że katecheci naszych szkół ludowych posiadają pewne cechy wspólne i pewną, choć może luźną jeszcze, organizacyą: zgromadzają się na osobnych konferencyach i wiecach, łączą w »związek katechetów«, grupują się koło *Dwutygodnika katechetycznego*, któryby inaczej nie miał racyi bytu. Jeżeli grono ludzi, posługujących się w nauce lub sztuce odrębną metodą, właściwą pewnemu czasowi lub krajowi, nazywamy szkołą, to nie wiemy, czemuby nie miało być wolno nazywać dzisiejszych naszych katechetów ludowych »szkołą«, skoro ich zbliża do siebie powinowactwo myśli, aspiracyi, dążeń i metody? Wszak wyraz »szkoła« nie jest obelgą. Z naszej strony autorowi »Racyi czy parodoksu« tobyśmy jedynie zarzucili, ze, przypisując

*) Czy między nimi są i tacy, którym zaciężyła ręka Biskupa lub proboszcza, więc poszli do szkoły, aby być *procul a Jove, procul a fulmine*? Tego nie wiemy.

*) Nie mówimy o katechezach ks. Sarny; chwalić ich nie widzimy potrzeby, ganić — niema za co.

naszym katechetom zamiłowanie w szablonie niemieckim, wyrządza krzywdę — Niemcom.

Pobieżne porównanie »katechez dla 3—6 l. nauki« umieszczonych w *Dwutygodniku katechetycznym* z katechezami Schmitta lub nawet *Wiedemayr'a**) okazuje wyższość Niemców w pojmowaniu zadania katechety; mamy tam szczęśliwe łączenie toku akroamatycznego z heurystycznym, naturalne przejścia w dyalog, mamy uzmysławianie pojęć przez porównania, parabole i powiastki, przemowy skierowane do uczucia młodzieży; słowem, rzeczy, które się pojawiają tylko jako *rari nantes* na szpaltach *Dwutygodnika katechetycznego*.

Zdaniem ks. Gadowskiego artykuły p. L. »Racya czy paradoks« rzucają »fatalne hasło między współbraci, dzieląc ich na dwa przeciwne rzekomo obozy, starszych i młodszych«. Odpowiemy na to, że owe artykuły nie podżegają do rozdziału, lecz stwierdzają jedynie fakt niezaprzeczony. Od wieków są starzy i młodzi. Starzy a młodzi różnią się nietylko tem, że młodych bolą zęby, a starszym dokucza reumatyzm, lecz dzielą ich także właściwości psychiczne: młodych cechuje energia, starzy nadrabiają doświadczeniem; młodzi unoszą się zapałem, starzy chwalą sobie rutynę; młodzi pragną walki, starzy wzdychają za spokojem: młodzi palą się do rzeczy nowych, starzy lękają się nowości i niedowierzają im. Stwierdzenie tego stanu rzeczy nie jest niczem zdrożnem, gdyż rzecz sama nie jest złą, owszem dobrą, bo warunkującą prawdziwy postęp. Postęp zawiera w sobie dwa czynniki: reformatorski (właściwy młodzieży) i zachowawczy (właściwy wiekowi starszemu). Gdyby świat nic innego nie czynił, jeno przechowywał spadek, odziedziczony po ojcach, dreptałby wciąż na jednem miejscu; gdyby znowu z zasady odrzucał wszystko, co niegdyś wymyślono i uczyniono, także nie postąpiłby naprzód, bo zawsze musiałby wracać do punktu wyjścia. Starzy i młodzi są, a dobrze, że są, bylebyśmy wszyscy, młodzi i starzy, stosowali się do rozkazu Apostoła: *alter alterius onera portate*.

Ks. Gadowski dlatego zrozumiał mylnie intencyę i słowa autora artykułów »Racya czy paradoks«, że zepsuł sobie sąd uprzedzeniem. Zdaje mu się, że *Gazecie Kościelnej Dwutygodnik katechetyczny* jest »solą w oku«, czyli, że *Gazeta Kościelna* dybie na zgubę *Dwutygodnika*. Podejrzliwość ta jest wprost niemoralna, bo pozbawiona podstawy. Nie, tak nie jest. W Redaktorze *Dwutygodnika Katechetycznego* widzimy *socium doloris*, a pouczeni własnem doświadczeniem, nie zazdrościmy mu róż, na których spoczywa; przeciwnie, uznając wielkie zasługi, jakie *Dwutygodnik* już oddał sprawie religijnego nauczania w szkołach i w przyszłości oddać może, zwinięcie tej pożytecznej a jedynej u nas publikacyi uważalibyśmy za prawdziwą szkodę społeczną. Szczere to zapewnienie nie przeszkadza temu, iżbyśmy byli gotowi do kłótni, zawsze jednak w myśl słów Psalmisty: *Irascimini et nolite peccare*.

Bibliografia.

Historya literatury francuskiej ułożona podług najświeższych opracowań obcych przez Zygmunta Sarneckiego, Kraków, str. 481.

Spółka wydawnicza w Krakowie dowiodła całym szeregiem swoich wydawnictw, że umie trafić we wszystkie potrzeby, na jakie nasze życie umysłowe jest wystawione. Niezaprzeczoną lukę w naszem piśmiennictwie stara się wypełnić wydaniem »Historyi literatury francuskiej« p. Sarneckiego. Znajomość literatury francuskiej może mieć szczególniejszy interes, najpierw dla zrozumienia literatury ojczystej, na którą w ciągu wieków wielki miała wpływ, powtóre dla zoryentowania się w prądach doby obecnej, związanych licznemi niciami z życiem nad Sekwaną, wreszcie dla przyjrzenia się zdobyczom ducha narodu przodującego bądźcobądź cywilizacyi europejskiej. Nowy podręcznik do naukowości pretensyi nie ma, oryginalnym także nie nazywa się sam, ma być książką przeznaczoną dla »młodzieży płci obojej«. Na to musiałby być zwięźlej, przejrzyściej i więcej metodycznie ułożony. Przeznaczyłbym go raczej dla starszych, którzy nie chcą przebijać się przez poważniejsze dzieła a rozejrzeć się chcą w literaturze francuskiej przy pomocy przystępnego podręcznika. Takim przewodnikiem być może, tem bardziej że jest napisany z lekkością fejletonową a sądy wydane uzmysławia często przekład celniejszych wyjątków. Autor wychodząc od pierwszych początków przebiega wiekami pojedyncze rodzaje literackie na tle stosunków zewnętrznych i indywidualności pisarzy. Przy tem wszystkiem literacki wzgląd nie bierze przewagi nad etycznym, co przy omawianiu piśmiennictwa francuskiego nie jest rzeczą obojętną. W wyobraźni czytelnika przesuwają się długą koleją pomniki twórczości ducha francuskiego, wśród których p. S. stara się być ożywionym Cicerone. Dodany na końcu »skorowidz nazwisk« ułatwia korzystanie z obszernej jak na podręcznik książki. Jedną możnaby zrobić uwagę ale to już do wszystkich, którzy piszą obce literatury dla szerszego koła inteligentnych czytelników, mianowicie, aby poprzestawać na najświetniejszych epokach i ograniczać się do najwybitniejszych przedstawicieli. Wielkie światła rozświetlają same przez się dalekie przestrzenie i blask ich będzie miał dla oka cudzoziemca dostateczną wrażliwość i ponętę. Myślę, że i życzenie naszego autora, by swoim podręcznikiem obudzić w czytelnikach pragnienie dokładniejszego zapoznania się z francuską literaturą, byłoby przy takiem ograniczeniu nawet pewniejszem spełnienia. (=)

* Leonhard Wiedemayr. Erklärung des kleinen Katechismus-approb. vom osterr. Gesammt-Episkopat. Innsbruck 1899.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać.

Przeniesieni księża wikaryusze: ks. Dziędzielewicz Józef z Brzozdowiec do Otynii, ks. Kulczycki Franciszek z Czerwonogrodu do Brzozdowiec, ks. Bazal Jan z Pomorzan do Czerwonogrodu.

Zmarli: ks. Piotr Rylski w Kozłowie ad Milatyn, O. Placyd Krupiński w Horyńcu z Zakonu braci mniejszych. *R. i. p.*

Dyecezya tarnowska.

Instytuowany na probostwo w Podolu ks. Franciszek Sikora, dotychczasowy proboszcz w Niwiskach.

Przeniesiony ks. Ludwik Czapieński z Wietrzychowic do Kamienicy.

Zamianowani pomocniczymi katechetami: ks. Kasper Mazur przy szkole wydziałowej żeńskiej w Tarnowie i ks. Jan Sawiński przy seminaryum nauczycielskiem tamże.

Opuścił dyecezyę tarnowską ks. Wawrzyniec Okulicki, dotychczasowy wikary w Zgórsku, udając się na posadę katechety przy wydziałowej szkole żeńskiej w Kołomyi.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: ks. Jan Chęciński.

Z drukarni katolickiej w zabudow. OO. Bernardynów.